

Dodatek bezpłatny do Nru 130

GŁOSU NARODU.

Kraków, dnia 13 maja 1905.

GLORIA SCOTT.

(Ciąg dalszy.)

— Jego nazwisko? — spytał mój gospodarz.

— Nie chciał powiedzieć.

— A czego chce?

— Powiada, że pan go zna i że pragnie tylko z panem kilka słów pomówić.

— No to każ mu przyjść tutaj.

W chwilę później ukazała się mała, wyniszczona, zgarbiona, wlokąca nogi za sobą postać. Nowo przybyły miał na sobie otwartą kurtkę, z rękawami poplamionemi smołą, koszulę, w czarne i czerwone paski, drylichowe spodnie i ciężkie znoszone buty. Ogorzała, zapadła twarz uśmiechała się nieustannie, pokazując nierówne rzędy żółtych zębów, a krótkie silne ręce nawpół miał zaciśnięte jak zwykle u marynarzy.

Kiedy się do nas, idąc trawnikiem, zbliżał, usłyszałem szczególny szmer jakiś, pochodzący z krtani pana Trevora, jakby coś łykał głośno, poczem zerwał się i pobiegł do domu. Za chwilę był znów z powrotem, a kiedy przechodził koło mnie, zaleciała mnie silna woń wódki.

— No, mój drogi, — rzekł do nieznajomego — cóż mogę dla ciebie uczynić?

Marynarz stał i patrzał na niego z pod nawpół przymkniętych powiek, z tym samym ciągle na twarzy uśmiechem.

— Pan mnie nie poznajesz? — spytał.

— Co? Ach, Boże, to przecież Hudson! — zawołał ze zdziwieniem pan Trevor.

— Tak, to Hudson — odparł marynarz. — Trzydzieści lat, a może i więcej, od czasu jak pana nie widziałem. Pan tu ma swój dom już, a ja ciągle muszę jeszcze ciężko i w znoju pracować.

— Cicho! Zobaczycie, że nie zapomniałem jeszcze o dawnych czasach! — zawołał Trevor, podszedł do marynarza i szepnął mu cicho parę słów do ucha. — Idźże do kuchni — dokończył głośno. — Tam dadzą wam jeść i pić. Ja już znajdę dla was miejsce.

— Dziękuję! — odparł marynarz i potarł sobie ręką czoło. — Właśnie wracam z dwuletniej ciężkiej podróży i trochę wypoczynku przyda mi sie. Więc pomyślałem sobie, spróbuję u pana Beddvesa, albo u pana.

— Co? — zawołał znów Trevor — wiecie, gdzie jest pan Beddves?

— Wiem, gdzie są wszyscy moi starzy przyjaciele, — odparł z przebiegłym uśmiechem i powlókł się za służącą do kuchni.

Pan Trevor mruknął jeszcze parę wyrazów niezrozumiałych o koleżeństwie na morzu, o kopalniach złota i zostawiwszy nas na łące, poszedł do domu. Kiedyśmy w godzinę potem udali się za nim, znaleźliśmy go leżącego na sofie, w jadalni zupełnie pijanego.

Całe zajście zrobiło na mnie nad wyraz przykre wrażenie i nazajutrz zadowolony byłem, opuszczając Donnithorpe, czułem bowiem, że obecność moja staje się źródłem przykrości dla przyjaciela.

Wszystko to działo się w pierwszym miesiącu długich letnich wakacji. Pojechałem ztamtąd do Londynu i pracowałem tam pilnie przez siedem tygodni nad pewnemi eksperymentami z chemii organicznej.

Pewnego dnia, już na początku jesieni, otrzymałem od mego przyjaciela depeszę, w której mię usilnie prosił o przybycie do Donnithorpe, ponieważ trzeba mu mojej rady i obecności. Naturalnie, cisnąłem wszystko i udałem się natychmiast na północ.

Oczekiwał mnie na dworcu z powozikiem, a jedno spojrzenie objaśniło mnie odrazu, że musiał ciężkie przeżyć chwile w ostatnich dwóch miesiącach. Twarz mu się zapadła, wyraz jej był stroskany, a wogóle ani cienia dawnego dobrego humoru.

— Ojciec mój jest umierający — były jego pierwsze słowa.

— Nie podobna — wykrzyknąłem — co się stało.

— Atak! Apoplektyczny atak! Cały dzień już walczy ze śmiercią. Kto wie, czy go jeszcze przy życiu zastaniemy.

Łatwo wyobrazisz sobie, Watsonie, jak mną ta wiadowość wstrząsnęła.

— Z jakiej przyczyny? — spytałem.

— Tak, w tem rzecz właśnie. Wsiadaj prędko, a podczas drogi będziemy o tem mówili. Czy przypominacz sobie owego człowieka, który zjawił się tu na dzień przed twoim wyjazdem?

— Doskonale.

— Czy wiesz, kogosmy wówczas do swego domu przyjęli?

— Nie mam pojęcia.

— To był szatan, Holmesie! — zawołał.

Spojrzał na niego ze zdumieniem.

— Tak, to był szatan wcielony. Od tej chwili nie mieliśmy już ani jednej godziny spokojnej, ani jednej. Ojciec mój od owego wieczoru nie śmiał głowy podnieść, a teraz życie z niego ucieka, a serce ma zdruzgotane — wszystko przez tego szatańskiege Hudsona.

— Cóż temu człowiekowi dało taką władzę nad nim?

— Tak, dużo dałbym za to, gdybym to mógł wiedzieć. Taki zacny, poczciwy, łagodny stary mój! W jaki sposób mógł on wpaść w sieci tego łajdaka. Ale jestem szczęśliwy, że przyjechałeś, Holmesie. Mam nieograniczone zaufanie do twego sądu i do twojej dyskrecyi i wiem, że dasz najlepszą radę.

Pędziliśmy po gładkiej, ubitej drodze, a obszerne grunta bagniste tonęły w czerwonawem już świetle zachodzącego słońca. Poza wierzchołkami drzew dostrzedz już mogłam wysokie kominy domu Trevorów.

— Ojciec moj dał Hudsonowi miejsce ogrodnika — opowiadał dalej towarzysz mój, — a potem, ponieważ z tego nie był zadowolony, zrobił go piwniczym. Całe gospodarstwo odrazu było na jego łasce, chodził po domu i robił wszystko, co mu się tylko podobało. Służące skarzyły się na jego brudne nawyknienia, opilstwo i ordynarną mowę. Ojciec usiłował wynagrodzić im to, podwyższając płacę. Hudson, nie pytając o pozwolenie, używeł sobie łodzi ojca, brał najlepszą strzelbę i sam się wpraszał na polowania. Czynił to wszystko z tak bezczelną ironią, że byłbym go zdusił ze dwadzieścia razy, gdyby nie był taki stary. Przez cały ten czas gwałtem musiałem nad sobą panować, a teraz zastanawiam się, czy nie lepiej byłoby, gdybym był właśnie nie czynił tego i zdobył się na jakiś krok stanowczy. Słowem działo się coraz gorzej, a to bydlę, ten Hudson, coraz więcej się rozgaszczał, aż nareszcie przebrała się miarka i pewnego dnia, gdy w mojej obecności ośmielił się ojcu memu dać bezczelną odpowiedź, schwyciłem go za kark i wyrzuciłem za drzwi. Zzieleniał ze złości, oczy jego sypały iskrami, co wymowniejsze było niż wszystkie groźby, i wyniósł się. Co zaszło potem między nim a moim biednym ojcem — nie wiem, ale nazajutrz rano przyszedł do mnie i spytał, czy nie zechcę Hudsona przeprosić. Jak ci się łatwo domyśleć, wahałem się i zrobiłem ojcu wyrzut, jak może pozwolić, aby ten nędznik jemu i wszystkim domownikom tak skakał po głowie.

— Ach, mój chłopcze — odparł, — dobrze ci mówić, ale nie znasz mego położenia. Jednakże musisz je poznać, niech się dzieje co chce! Nie pomyślisz nic złego o twoim biednym, starym ojcu, co?

Tego samego wieczoru zaszło coś, co zdawało się wszystkim przynosić wyzwolenie: Hudson oznajmił nam, że chce oddalić się. Przyszedł do jadalni i ochrypłym głosem pijaka przedstawił swoje zamiary.

— Dosyć mam Norfolku! Chcę tam na dół do pana Beddvesa, do Hampshire. Będzie taki sam akurat kontent, jak mnie zobaczy, jak pan.

— Nie odchodzisz w gniewie, mam nadzieję, Hudsonie? — spytał mój ojciec z taką pokorą w głosie, że we mnie się krew zagotowała.

— Przecież mnie nikt o przebaczenie nie prosił, — mruknął gniewnie, spoglądając na mnie z ukosa.

— Wiktorze przyznasz, że za szorstko obszedłeś się z tym zacnym człowiekiem, — zwrócił się ojciec ku mnie.

— Przeciwnie, sądzę, że obaj za długo byliśmy dla niego zbyt pobłażliwi — odpowiedziałem.

— Tak, tak sądzicie? — huknął. — Dobrze, doskonale! Zobaczymy! — i wywlókł się z pokoju, a w pół godziny potem już go nie było Od tej chwili jednak ojciec mój znajdował się w nieopisanym stanie podrażnienia. Co noc słyszałem, jak niespokojnie chodzi po pokoju, a kiedy już nareszcie był trochę spokojniejszy, dostał ataku.

— A w jaki sposób? — spytałem.

— Bardzo szczególny. Wczoraj wieczór przyszedł do ojca list, noszący stempe »Ferdinandsbridge«. Ojciec przeczytał go, chwycił się obiema rękami za głowę i zaczął, zataczając małe kręgi, biegać po pokoju, jakby zmysły stracił. Kiedym go zdołał nareszcie do sofy doprowadzić, usta i powieki miał z jednej strony zupełnie skurczone i przekonałem się, że to był atak apoplektyczny. Dr Fordham przybył natychmiast i położyliśmy go do łóżka; ale naztąpił paraliż, który coraz więcej ciało

ogarniał, nie było ani jednej oznaki przyjścia do przytomności i wątpię, czy go jeszcze przy życiu zastaniemy.

— Przerażasz mnie, Trevorze! — zawołałem. — Co tam tak strasznego było w tym liście?

— Nic strasznego. To właśnie jest niepojęte. Słowa były nic nieznaczące. Ach! mój Boże, stało się, jak się obawiałem!

Skręcaliśmy właśnie w drogę ku domowi i ujrzeliśmy, że wszystkie żaluzje w domu są spuszczone. Gdy przejeżdżaliśmy koło bramy, kurcz bolesny skrzywił twarz mojego przyjaciela na widok wychodzącego z domu jakiegoś pana w czarnem ubraniu.

— Kiedy to się stało? — spytał Trevor.

— Prawie niezwłocznie po pańskim wyjeździe.

— Czy nie odzyskał przytomności?

— Tylko na jedną chwilę przed samym końcem.

— Czy nie chciał mnie jeszcze co powiedzieć?

— Nic, prócz tego, że papiery leżą w japońskim pokoju, w biurku.

Przyjaciel mój poszedł z lekarzem na górę, do pokoju, gdzie leżał zmarły, ja zaś pozostałem na dole, rozmyślając coraz głębiej nad tą całą sprawą. A myśli moje były bardzo ponure. Jaką była przeszłość tego starego Trevora? Bokser, marynarz, poszukiwacz złota, a w jaki sposób dostał się on w ręce tego żerującego łotra? A dlaczego lekkie napomknienie o nawpół już zatartych wytatuowanych literach na ramieniu przyprawiło go o omdlenie, a list z Fordingbridge o śmierć niemal? Teraz wpadło mi na myśl, że Fordingbridge leżało w Hampshire i że ten pan Beddves, którego marynarz miał odwiedzić, i na którym prawdopodobnie usiłował wywrzeć jakąś presję, także mieszkał zapewno w Hampshire. Następnie list mógł być od samego marynarza i zawierać wiadomość, że zdradził obciążoną winą tajemnicę, czego się właśnie należało obawiać, albo od Beddvesa, który ostrzegł starego przyjaciela, że zdrada taka wkrótce nastąpi.

Jak dotąd wszystko wydawało mi się dość jasnem. Ale jakie mogły być wobec tego słowa, zawarte w liście, jak twierdził mój przyjaciel, nic nieznaczącemi? Musiał ich chyba nie rozumieć. A gdyby tak było, to szło niewątpliwie o mądrze wyrozumowany list cyfrowy, co nieświadomym czytelnikom mógł mówić zupełnie co innego, niż wtajemniczonym. Ten list postanowiłem zobaczyć. Jeżeli miał jakieś ukryte znaczenie, byłem przekonany, że dojdę prawdy.

Siedziałem tak z godzinę w ciemnościach, rozmyślając nad tem wszystkiem, aż w końcu ukazała się z lampą płacząca pokojówka. Za nią wszedł Trevor, blady, ale spokojny, panujący nad sobą i trzymał w dłoni te same papiery, które oto w tej chwili leżą na moich kolanach. Usiadł naprzeciw mnie, przysunął bliżej do siebie lampę i podał mi pismo, nabazgrane na szarym skrawku papieru, a które brzmiało: „Polowanie na zające wkrótce zaczyna się. Na stanowiskach, jak mi powiedział leśniczy Hudson, wczoraj już zgromadzona była cała zwierzyna. Wyznał on, że lis już ucieka z nory, a tu i tam śpieszy jeszcze tchórz szybko«.

Muszę się przyznać, że przeczytawszy pierwsze wiersze, byłem zupełnie tak samo zdumiony, jak ty w tej chwili. I przeczytałem raz jeszcze wolno każdy wyraz. Widocznem było, że tak, jak przypuszczałem, poza temi wyrazami kryje się inne jeszcze znaczenie. A może wyrazy: »na stanowiskach«, »lis«, »tchórz«, miały jakąś wspólną łączność? Wówczas znaczenia bez specjalnego klucza odnaleźć nie było podobna. A jednak wierzyć temu nie chciałem; sam wyraz »Hudson« wskazywał, że wiadomość dotyczyła tego, czego się właśnie obawiałem, i że pochodził raczej od Beddvesa, niż od marynarza. Spróbowałem czytać odwrotnie, ale to mnie nic nie objaśniło. Potem opuszczałem co dwa wyrazy jeden, ale i to nie wyprowadzało mnie z ciemności. Za chwilę jednak myśl pewna strzeliła mi do głowy, i już trzymałem w ręku klucz od zagadki; wyraz pierwszy i potem co trzeci stanowił sens i przynosił wieść, która starego Trevora do rozpaczy doprowadziła.

Krótko i węzłowato ostrzeżenie brzmiało mniej więcej tak: »Polowanie zaczyna się. Hudson wszystko wyznał. Uciekaj szybko«.

Wiktor Trevor ukrył twarz w drżących dłoniach.

— Zdaje mi się, że masz słuszność — rzekł wreszcie. — O! to straszniejsze niż śmierć, bo na hańbę wygląda! Ale co znaczą wyrazy »na stanowiskach«, »leśniczy« »tchórz«?

— Dla wiadomości nie są wcale potrzebne, ale dla nas bardzo, gdybyśmy nie mieli innego środka do odkrycia tego, który je wysyła. Widzisz, on najprzód napisał: »Polowanie... zaczyna się...« i t. d. Potem, według umowy, co dwa wyrazy wstawiał dwa niepotrzebne. A urządził to tak, żeby się każdemu zdawało, że piszący jest zapamiętałym myśliwym. Czy wiesz cośkolwiek o tym Beddvesie?

— Tak, teraz, gdy mi to mówisz, przypominam sobie, że ojciec mój każdej jesieni dostawał zaproszenie na polowanie na jego gruntach.

— W takim razie pismo pochodzi od niego niewątpliwie, — odparłem. — Teraz pozostaje nam odkryć tajemnicę tych dwóch zacnych ludzi, jaką ten łotr trzyma w ręku i jaką im grozi.

— Holmesie! — jęknął mój przyjaciel — obawiam się, że poza tem kryje się wstyd i hańbą. Ale dla ciebie nie mam żadnych tajemnic. Oto jest wyznanie, które ojciec mój

napisał, przekonawszy się, że zbliża się coraz bardziej grożące ze strony Hudsona niebezpieczeństwo. Znalazłem je w pokoju japońskim, jak umierający objaśnił lekarza. Weź i przeczytaj mi je, bo sam nie mam ani siły, ani odwagi uczynić tego.

— I oto są właśnie, Watsonie, owe papiery, które mi wręczył, i chcę ci je przeczytać, jak przeczytałem jemu wówczas, w ową noc smutną. Jak widzisz, noszą napis: »Zdarzenia na statku »Gloria Scott«, który opuścił Falmouth dnia 8 października 1855 r., a 6 listopada pod 15 stopniem i 20 minutami północnej szerokości i 25 stopniem i 14 minutami zachodniej długości zatonęła«. Całe wyznanie napisane było w formie listu i brzmiało jak następuje:

»Ukochany synu mój! Teraz, gdy hańba się zbliża i kładzie już ciemne cienie na wieczór mego życia, z całą prawdą i szczerością mogę napisać: nie obawa przed wyrokiem prawa, nie utrata niepośledniego, jakie zajmowałem stanowiska, nie upadek mój w oczach znajomych i przyjaciół rozdziera mi serce, jeno ta myśl, że ty rumienić się masz za mnie, ty, który mnie kochasz, ty, który, o ile mi się zdaje, nigdy nie miałeś powodu myślenia o mnie inaczej, jak z szacunkiem. Skoro jednak cios, który ciągle wisi nademną, spadnie, to pragnę, ażebyś to przeczytał i miał odemnie całą, niczem nie ubarwioną prawdę, z której sam wysnujesz sobie miarę mej winy. Jeżeli jednak wszystko dobrze się ułoży, — co dałby Bóg najwyższy, — i pismo to przypadkiem nie było zniszczone i dostało się w twoje ręce, wówczas zaklinam cię na wszystko, co masz świętego, na pamięć twej drogiej matki i tę miłość, która nas złączyła, rzuć je w ogień i wymaż ze swej pamięci.

„Nazwisko moje, ukochany synu mój, nie jest Trevor. W latach młodości nazywałem się James Armitage i teraz zrozumiesz, dlaczego przed kilku tygodniami byłem tak wzburzony, gdy twój kolega i przyjaciel zwrócił się do mnie ze słowami, z których wywnioskować mogłem, że odkrył moją tajemnicę. Jako Armitage wstąpiłem do jednego z domów bankierskich i jako Armitage zostałem za pogwałcenie prawa przez sąd zawezwany i na karę zesłania skazany. Nie myśl zbyt źle o mnie, mój chłopcze! Przyczyną tego był tak zwany dług honorowy, z którego się musiałem uiścić, i użyłem na to pieniędzy nie swoich. w tem przekonaniu, że je oddam, zanim się sprawa odkryje. Ale nieszczęście prześladowało mnie. Zanim otrzymałem pieniądze, na które liczyłem, zarządzono niespodzianą kontrolę i odkryto deficyt. Przestępstwo mogło było być o wiele łagodniej osądzone, ale trzydzieści lat temu prawa o wiele były niż dziś surowsze i w dniu mojej dwudziestej-trzeciej rocznicy urodzin znalazłem się, jako przestępca, z trzydziestu siedmiu innymi pod pokładem »Gloria Scott«, odpływającego do Australii.

»Było to w roku 1855, kiedy wrzała jeszcze w całej pełni wojna krymska i stare statki ze skazańcami służyły niejednokrotnie dla przewozu żołnierzy na morze Czarne. Rząd często był zmuszony wysyłać skazańców-osiedleńców na mniejszych okrętach. »Gloria Scott«, jadąc z Chin, służyła do przewozu herbaty, ale był to statek starej konstrukcji, ciężkiej budowy, daleko w tyle pozostający wobec nowych. Przy pojemności 1500 ton, liczył on, oprócz 37 ptaszków z więzienia, załogę, składającą się z dwudziestu sześciu głów, ośmnastu marynarzy, jednego kapitana, jednego lekarza, jednego kapłana i czterech dozorców. Ogółem tedy było na pokładzie około stu dusz, w chwili, gdy wypływaliśmy z Falmouth na morze.

Ściany pomiędzy celami skazańców nie były, jak zwykle na okrętach, z grubego dębu, lecz cienkie, drewniane, z łatwością dające się przebić. Najbliższy mój sąsiad od pierwszej chwili zwrócił moją uwagę. Był to człowiek młody, o bladej, wygolonej twarzy, cienkim nosie i nadzwyczaj wydatnych szczękach. Głowę nosił w górę wysoko zadartą, a chód miał wyzywający. Zresztą górował nad wszystkimi innymi niezwykłym wzrostem. Żaden z nas, o ile mi się zdaje, nie dochodził mu nawet do ramienia i podług mego obliczenia, musiał mieć sześć i pół stopy wysokości. Widok wśród tylu smutnych i przygnębionych postaci tak pełnej siły i stanowczości, dodawać musiał otuchy. Wydał mi się, jak słup płomienny śród śnieżycy. Przyjemnie mi też było mieć go za sąsiada, a jeszcze przyjemniej, gdy wśród grobowej ciszy nocnej tuż nad uchem usłyszałem szept i przekonałem się, że udało mu się wywiercić dziurę w dzielącej nas ścianie z desek.

— Hola! Kolego! — zawołał. — Jak się nazywasz i coście tam przeskrobali?

Odpowiedziałem mu i nawzajem o nazwisko spytałem.

— Ja jestem Jack Prendergast — odparł — i niech mi Bóg dopomoże, ale będziesz błogosławił moje nazwisko, zanim się rozstaniemy.

Przypomniałem sobie, że słyszałem coś o jego przestępstwie; bo na krótko przed ujęciem mnie narobił niezwykłego hałasu w całym Londynie. Prendergast pochodził z dobrej rodziny i był bardzo zdolny, posiadał jednak nieuleczalną skłonność do popełnienia bezprawi i największych londyńskich kupców przez swoje szalone i niezwykle pomysłowe oszustwa przyprawiał o kolosalne straty.

— Ach, jak widzę, przypominasz pan sobie moją sprawę? — spytał mnie z dumą.

— Istotnie, bardzo dobrze.

— W takim razie pamiętasz pan może w niej coś szczególnego?